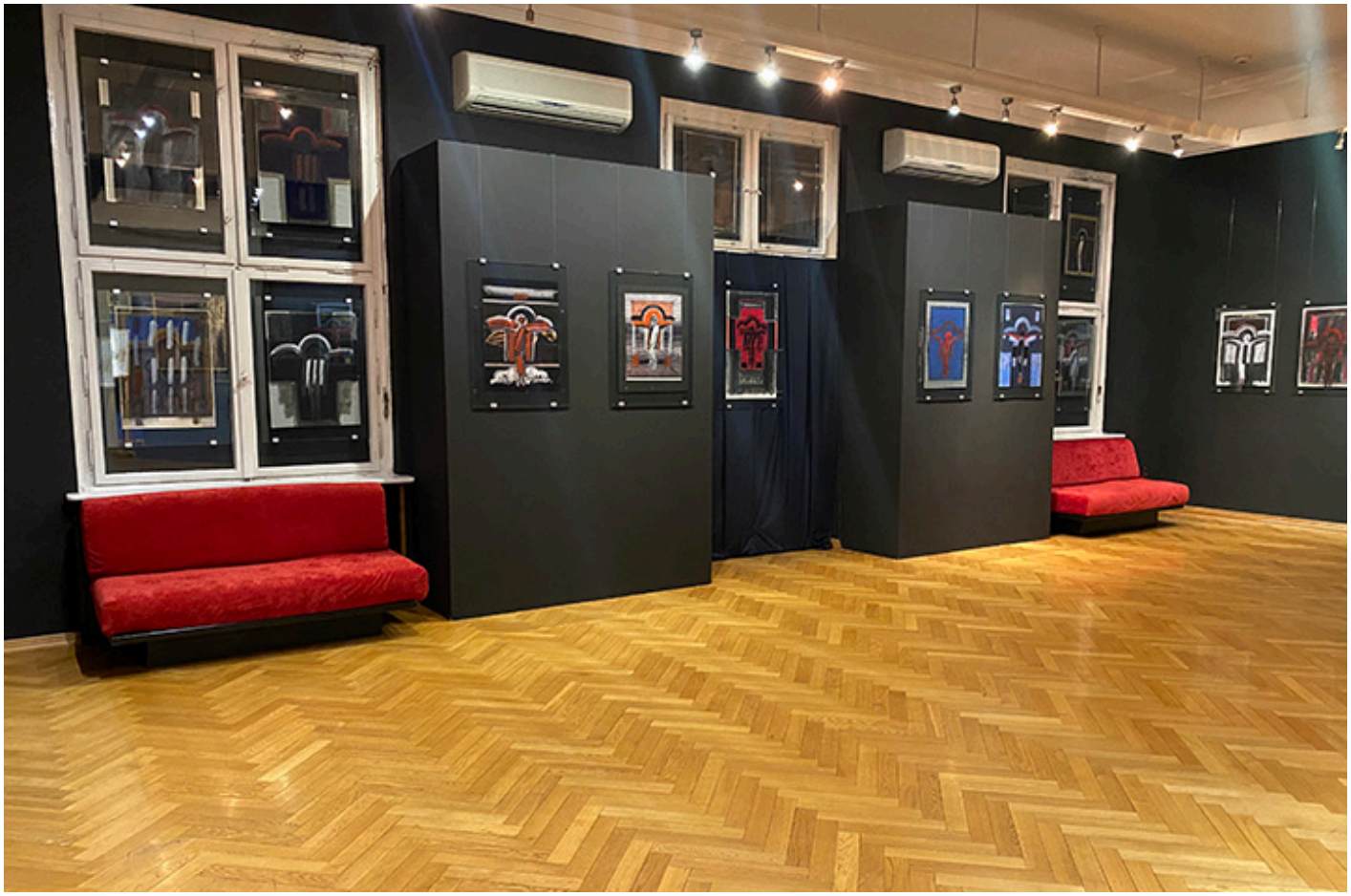
Wystawa prac Kazimierza Głaza w Muzeum Uniwersyteckim w Toruniu



Kazimierz Głaz, malarstwo, Muzeum Uniwersyteckie przy Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu

Od 22 listopada 2022 roku do 28 kwietnia 2023 roku w Muzeum Uniwersyteckim przy Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, ma miejsce wystawa malarstwa wybitnego artysty z Toronto, twórcy sensybilizmu, Kazimierza Głaza. Wystawa została przygotowana z okazji II Zjazdu Badaczy Polonii. Kuratorem wystawy jest Kasia Moskała.

*

Kazimierz Głaz urodził się 26.03.1931 roku w Borkach

Nizińskich w woj. podkarpackim. W 1950 r. ukończył szkołę średnią w Mielcu. Studiował malarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. W 1955 r. wziął udział w Ogólnopolskiej Wystawie Młodych w Warszawie „Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi", zwaną też Arsenałem, która była wystąpieniem przeciwko stylistyce socrealizmu. Ostatni rok studiów spędził w Wałbrzychu, gdzie odbył praktykę dyplomową. Studia ukończył w 1956 r. W Wałbrzychu mieszkał, tworzył i pracował w zakładach graficznych kalkomanii – Cerfarba aż do 1968 r. W ostatnim roku pobytu, otrzymał specjalną Nagrodę Artystyczną Miasta Wałbrzycha. Tutaj artysta założył teatr-kabaret satyryczny nazwany Niezależna Szopką Sensybilistyczną – ruch ten był początkiem sensybilizmu, a spektakl pt. „Sensybilizm, czyli nie wolno robić z publiczności balona" – wystawiony w 1957 r. w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu, uważany jest za pierwszy happening w Polsce. W maju 1962 r. Związek Polskich Artystów Plastyków we Wrocławiu zorganizował wycieczkę do Moskwy i Leningradu, w której artysta wziął udział. Z podróży tej przywiózł fascynację sztuką bizantyjską. Jesienią 1962 r. we Wrocławiu wystawił po raz pierwszy cykl prac pt. „Impresje Moskiewskie".


Kazimierz Głaz.
Malarstwo.



W 1965 r. na Ogólnopolskiej Wystawie Malarstwa Młodych w Sopocie pokazał kolejne prace z tego cyklu, które przyniosły mu roczne stypendium twórcze Ministerstwa Kultury i udział w IV Międzynarodowym Biennale Malarstwa w Paryżu. Impresje Moskiewskie zostały pokazane w Pawilonie Polskim, gdzie zachwycił się nimi zwiedzający wystawę Marc Chagall. Na wniosek Chagalla, Głaz otrzymał Nagrodę Erasmus Prize na trzyletni pobyt i pracę artystyczną we Francji. Dzięki Fundacji Mihaly'ego Károlyi w latach 1966 – 1968 przebywał w Vence na

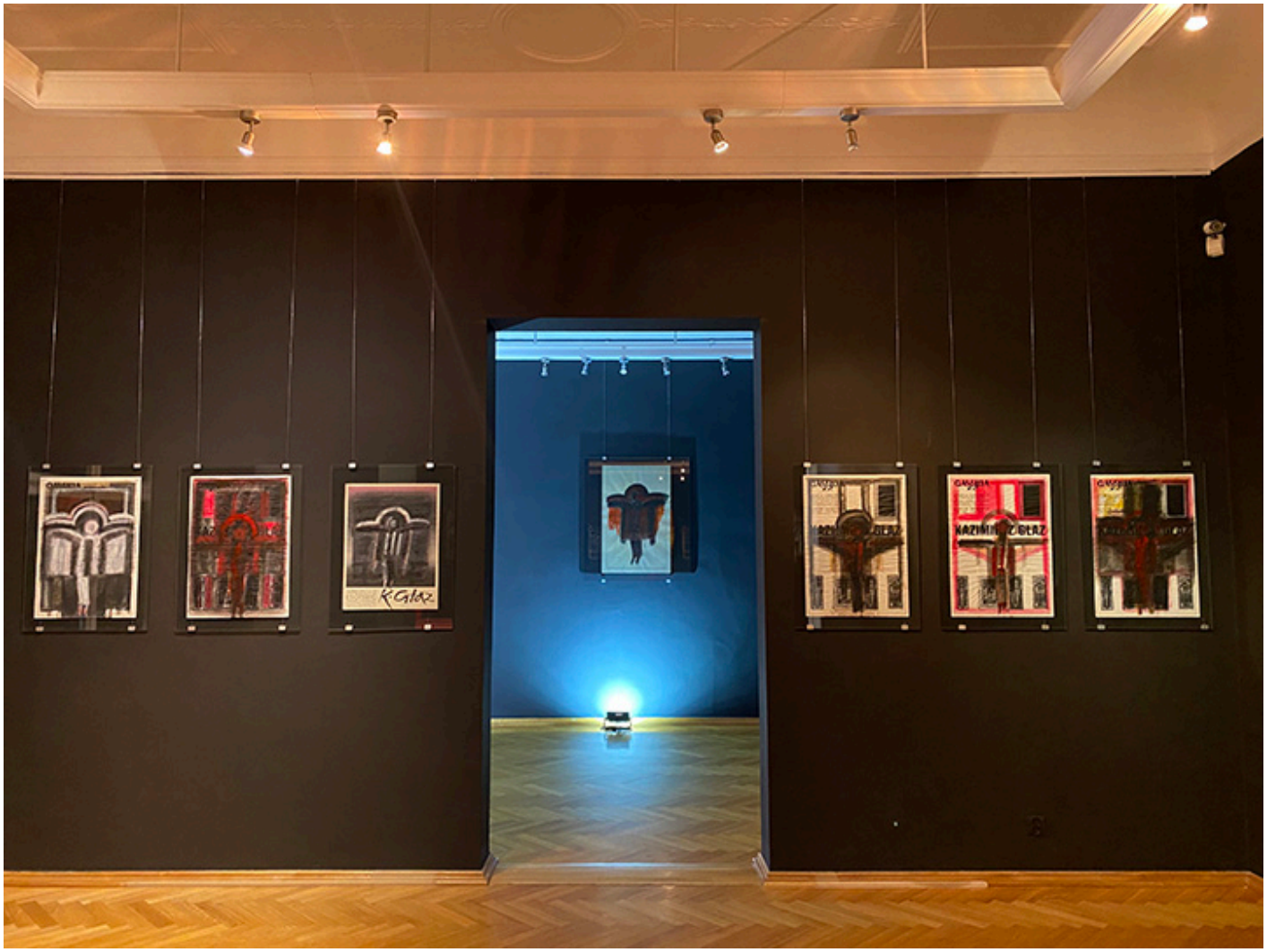
Riwierze Francuskiej, gdzie poznał wiele osobistości świata sztuki i kultury m.in. Marka Chagalla, Jeana Miró, Maxa Ernsta, Józefa Jaremę i Witolda Gombrowicza. W 1985 r. Głaz wydał książkę pt. „Gombrowicz w Vence", będącą zapisem wspomnień artysty z pobytu na Lazurowym Wybrzeżu i przyjaźni z pisarzem. W 1968 r. Głaz przeniósł się do Kanady i zamieszkał w Toronto nad Jeziorem Ontario. Rok później otworzył ośrodek sztuki współczesnej – Toronto Center for Contemporary Art, który otrzymał dotacje finansowe od Rządu Federalnego i Prowincji Ontario. Misją ośrodka jest edukacja artystyczna dzieci i młodzieży oraz tworzenie stałych kolekcji sztuki współczesnej w szkołach (Community Art Collections). Artysta pracował także na Wydziale Sztuki Centralnej Szkoły Technicznej na stanowisku profesora grafiki i rysunku. Wydał wiele grafik i książek bibliofilskich z opowiadaniami własnego autorstwa. W 1972 r. stworzył swoją pierwszą, bardzo liczną serię prac graficznych (litografie) pt. „Ujęcie III, esoteryczne". Brał udział w wielu wystawach zbiorowych, ale wystawiał przede wszystkim na wystawach indywidualnych. Jego prace znajdują się w największych i najważniejszych kolekcjach malarstwa w Muzeach i Galeriach na całym świecie. Oprócz twórczości artystycznej artysta pochłonięty był nauką języków obcych oraz corocznymi podróżami po Europie.

*

Galeria






K.Glaz













*

Fotografie: Muzeum Uniwersyteckie w Toruniu.

Strona muzeum: http://www.muzeum.umk.pl/

*

Zobacz też:

W poszukiwaniu piękna. Kazimierz Głaz.

Kazimierz Głaz. Gwasze.

Prawo sensybilizmu

Paryż, Luksemburg i nagroda Marca Chagalla

Brylant. Część 2.



Salon w zamku Warwick, Wielka Brytania, XIX w., ilustracja książkowa, źródło: wikimedia commons

Wojciech Wilczyński *(Warszawa)*

VI

Karolina długo nie mogła zasnąć. Spostrzegła, że ich gość wpatrywał się w nią jak w obrazek. Tyle emocji jednego wieczoru, gdy zwykle tak jednostajnie upływa dzień za dniem. Cieszyła się na jutrzejszą trasę z nowo poznanym gościem. Miał kilka siwych włosów, co tylko dodawało mu uroku. Zastanawiała

się, ile ma lat. Gdy spojrzała na zegar zrozumiała, że to jutro jest już dziś, bo wskazówka godzinowa minęła północ.

Nie inaczej rzecz się miała z Edwardem. Oszołomiony urodą i spontanicznością Karoliny, mimo zmęczenia nie mógł zasnąć, wciąż układał się na innym boku. Nie spodziewał, że spotka na swej drodze tak fascynującą istotę. Żyły z matką z dala od zgiełku miasta, zajęte swoimi winnicami. Karolina była jak młoda róża, na której płatkach osiadły krople porannej rosy. Edward postanowił, by jutro rozmawiać z nią jak najwięcej. Pragnął poznać świat jej emocji, a sam wykazać się erudycją i sprawnością. Jeśli nadarzy się ku temu okazja.

Podczas śniadania uzgodnił z obiema paniami,, że najwięcej zobaczy, gdy pojadą konno. Trzy wierzchowce ruszyły stępa, który wkrótce zamienił się w kłus. Patrzył zachwycony na Karolinę, która jadąc na koniu była w swoim żywiole. Widział, że kocha swojego rumaka. Traktowała go delikatnie, a gdy trzeba stanowczo. Jej jedność z własnym koniem była doskonała. Emma jechała przodem, a Edward z Karoliną nieco z tyłu. Dużo rozmawiali i wciąż żartowali. Pół dnia zajęło zwiedzenie całej posiadłości. Mieli wiele czasu na dyskusje o historii Anglii, geografii a nawet ekonomii. Stwierdził, że guwernerzy wpoili Karolinie wiedzę, jakiej inne panny w jej wieku mogłyby pozazdrościć. Jest zdolna i ma dobrą pamięć, więc wszystko chwyta w mig – pomyślał. W drodze powrotnej Karolina pognała

galopem i w poczuciu zwycięstwa z fantazją zatrzymała konia przed Crystal House. Ten dzień i następny, podczas którego Edward i Karolina we dwoje pojechali dwukółką do Dorking upłynęły jak sen. Córka Thomasa Cambridge'a podziwiała smukłą i mocną sylwetkę Edwarda oraz jego rozmarzone oczy, których wciąż nie mógł od niej oderwać.

W piątek wieczorem, podczas kolacji, Edward zaprosił obie Panie do Ashbourne, by życzeniu obu ojców stało się zadość. Wspólnie zastanawiali się nad datą pobytu. Chodziło o to, by znaleźć taki czas, który nie będzie kolidować z okresem żniw w Ashbourne i winobrania w Surrey. W końcu ustalono datę przyjazdu Pań Cambridge do Ashbourne na połowę sierpnia. Karolinę ogarnął smutek – mieli się spotkać dopiero za trzy miesiące. Od razu pomyślała, że będą to najdłuższe miesiące w jej życiu.

Edward również zdał sobie sprawę, że trzy miesiące to długi okres. Podczas wieczornego spaceru wziął Karolinę za rękę i by nie zostawiać wątpliwości, patrząc jej w oczy, powiedział:

– Karolino, nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Zawładnęłaś moimi myślami, jesteś piękna i wykształcona. Nie wiem jak przetrwam te trzy miesiące bez ciebie. Nic nie powiedziała, tylko wspięła się na palce i przylgnęła ustami do jego policzka. Wtedy mocno przygarnął ją ku sobie i pocałował, chcąc poznać smak jej ust i poczuć jędrność młodych piersi. Ta

chwila musiała im wystarczyć na najbliższe trzy miesiące.

VII

Sobotnim rankiem, gdy stangret wkładał walizki do faetonu, Edward uścisnął ręce Emmy i Karoliny. Wzruszony, podziękował za wspaniałe dni, które spędził dzięki nim. Po chwili powóz odjechał, a kobiety widziały ciągnący się za nim obłok kurzu, aż do momentu, gdy znalazł się za wzgórzem.

Emma i Karolina wróciły z podjazdu do środka domu zupełnie oszołomione. W Emmie obudziły się wspomnienia lat spędzonych z młodym Thomasem, zaś Karolina nie wiedziała jak poradzi sobie z tęsknotą za człowiekiem, którego poznała zaledwie przed trzema dniami. Prawie w ogóle nie rozmawiały. Każda przebywała we własnym świecie.

Gdy Jeremy zobaczył buggy zajeżdżające przed dom, było kilka minut po trzeciej. Ustalili wcześniej, że dzisiaj Edward będzie nocował u niego, bo spotkanie z przyjaciółmi zaplanowano na szóstą. Zaraz odesłał go do łazienki i doradził, by uciął sobie przynajmniej godzinną drzemkę.

Edward stosował się do rad Jeremyego, ale wydawał się jakiś nieobecny. W trakcie przyjęcia, na które tak cieszył się wcześniej, mówił i pił niewiele. Gospodarz nie mógł się nadziwić.

W nocy, po spotkaniu, zapytał stangreta czy coś złego nie przytrafiło się Edwardowi. Ten jednak nie umiał niczego wyjaśnić. Przebywał w innych pomieszczeniach, gdzie karmiono i pojono go po królewsku, więc spał i odpoczywał, doglądał koni, ot i wszystko. Rano Edward oświadczył niespodziewanie Jeremy'emu, że musi skrócić pobyt w Londynie, bowiem doszły do niego wieści o kłopotach w majątku. Pożegnali się więc, a Jeremy był zmuszony odwołać umówione wcześniej spotkania. Zaczynał się domyślać, że przemiana Edwarda nastąpiła w Dorking, ale o co chodziło – nie był w stanie odgadnąć. Edward wyjechał z Londynu w niedzielę rano, po śniadaniu.

VIII

Przygotowania na przyjazd pań Cambridge zajęły dwa tygodnie. Odświeżono wszystkie pomieszczenia przeznaczone dla gości, główny salon i hol. Uzupełniono potłuczoną zastawę i sztućce, zakupiono kilka nowych dywanów, naprawiono uszkodzone drzwi i nieszczelne okna. Kilka mebli odświeżono, więc ślady zapachu politury unosiły się jeszcze w części pomieszczeń. Panie informowały w liście o planowanym przyjeździe szesnastego sierpnia, po południu. Tego dnia Edward poprosił kamerdynera, by obserwował drogę dojazdową. Gdy powóz zbliżał się do pałacu stał na schodach by przywitać gości. Zauważył, że obie panie wyglądały doskonale i ciężka podróż nie zostawiła na nich żadnych widocznych śladów. Służba, zgodnie z wydanym

poleceniem, stała w jednej linii przy wejściu, dzięki czemu mógł przedstawić ich wszystkich. Takiej ceremonii w Ashbourne nie było od lat. Zabrano bagaże i wszyscy udali się do salonu.

Karolina podziwiała piękny pałac, który był wiele razy większy od ich domu. Edward wzruszył ją wręczając na powitanie wielki kosz róż. Podziwiała jego stosunek do służby, serdeczny i pełen zaufania. Dało się zauważyć, że między wszystkimi mieszkańcami Asbourne panuje więź, niespotykana gdzie indziej. Następnego dnia podczas uroczystego obiadu nastąpiło kulminacyjne wydarzenie. Edward wręczył Karolinie, jedynej córce Thomasa Cambridge'a wspaniały brylant. Życzeniem Thomasa było, by przekazać brylant jego potomkom, wyjaśnił. Brylant, którego nikt wcześniej nie oglądał sprawił na zebranych ogromne wrażenie. Był wart majątek, z pewnością wiele, wiele tysięcy funtów.

Pobyt pań Cambridge w Ashbourne potrwał blisko trzy tygodnie. Edward nie chciał zgodzić się na ich wcześniejszy wyjazd, zapewniając każdego dnia inne atrakcje. Oboje z Karoliną spędzali ze sobą mnóstwo czasu, ale o wiele za mało, niżby pragnęli. Od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, wiedział, że zrobi wszystko, by została z nim na zawsze. Tygodnie spędzone razem w Ashbourne niczego nie zmieniły, był szczęśliwy i pewien swojego wyboru. W połowie trzeciego tygodnia potajemnie rozmawiał z Emmą Cambridge. Poinformował o tym, że jutro oświadczy się Karolinie podczas

obiadu, na który zaprosił gości z sąsiednich posiadłości i przyjaciół z Londynu. I poprosił o jej zgodę na ten związek.

– Niech Karolina sama decyduje – powiedziała Emma. Jest już dorosła. Ja nie mogę stanąć na jej drodze do szczęścia.

Następnego dnia doszło do zaręczyn. Karolina Cambridge została narzeczoną Edwarda Cunninghama, a po kolejnych trzech miesiącach jego żoną. Zamieszkała w Ashbourne, razem z Edwardem. Żyli w szczęśliwym związku. Po czterech latach mieli syna i córeczkę.

IX

Któregoś zimowego wieczoru Edward postanowił przejrzeć stos papierów, który zalegał w jednym z biurek. Przeglądał je po kolei, większość niszcząc i od razu wyrzucając do kominka. Wśród nich dostrzegł pożółkły rachunek wraz z podpiętym certyfikatem. Przyjrzał mu się uważnie. Na rachunku firmy jubilerskiej z Brighton widniała data – dwunasty czerwca 1815 rok. Kupującym był Philip Cunningham z Ashbourne, zaś przedmiotem zakupu – brylant. Cena opiewała na dwanaście tysięcy funtów. Obejrzał certyfikat kamienia i stwierdził, że jego opis i parametry dokładnie odpowiadają brylantowi, który przekazał Karolinie Cambridge, jako depozyt wręczony jego ojcu przez Thomasa Cambridge'a w 1804 roku. Edward długo

przyglądał się pożółkłym dokumentom. Nie miał jakichkolwiek wątpliwości. Zapisał w notesie dane z certyfikatu, po czym rachunek i certyfikat wrzucił do ognia. Z wielkim wzruszeniem pomyślał o swoich rodzicach, a z oczu popłynęły mu łzy.

Cześć 1:

> Brylant. Część 1.

Wojciech Wilczyński



Urodzony w Warszawie. Absolwent SGH. Pisze i wydaje książki od 2012 roku. Pracował na różnych stanowiskach i w kilku zawodach. Był urzędnikiem państwowym, managerem w handlu zagranicznym, szefem budów za granicą, prezesem firm handlowych, biegłym sądowym, tłumaczem dokumentacji technicznych, z-cą dyrektora instytutu. Poza Polską mieszkał 12 lat, wśród innych kultur, ludzi z różnych środowisk społecznych i zawodowych. Posługuje się językami obcymi: hiszpańskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim. Od 2018 roku na bazie WordPress prowadzi polsko-hiszpańską stronę autorską , z której można pobrać w wersji ebook pięć książek, opowiadania, prozę poetycką, także reportaże. Na YouTube uruchomił kanał z własnymi opowiadaniami : wojciech wilczynski nowele – liczba audiobooków przekroczyła czterdzieści. Współpracuje z licznymi organizacjami polonijnymi, m.in. Radiem Polonia Montreal Kanada. Wszystkie książki autora ukazały się w wersji papierowej. Pojawiają się co roku na licytacjach WOŚP, dostępne są w ofercie antykwariatów internetowych i na allegro.

*

Opowiadanie „Brylant” na YouTube jako audiobook. Czyta Beata Niedziela – aktorka Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie:

Jestem trochę Polakiem, ponieważ jestem wielojęzyczny

Z Marco Americo Lucchesim, brazylijskim poetą, naukowcem, eseistą, tłumaczem – rozmawia Aleksandra Ziółkowska-Boehm.



Marco Lucchesi, fot. arch. Aleksandry Ziółkoskiej-Boehm

Pasją Marco Americo Lucchesi jest poezja. Tłumaczył na język portugalski poetów takich jak: Nagib Mahfuz z Egiptu, Umberto Eco i Mario Luzi z Włoch, Paolo Dall' Oglio z Syrii. Lucchesi pięknie promuje poezję polską w Brazylii. Gdy był redaktorem naczelnym „Poesia Sempre", pisma Biblioteki Narodowej w Rio de Janeiro, w roku 2008 (Poesia Sempre, numer 30, rok 15 / 2008), ukazał się numer specjalny poświęcony właśnie polskiej poezji. Prowadził wykłady z literatury w Niemczech, we Włoszech, Francji. Jego książki zostały przetłumaczone na wiele

języków: od angielskiego po urdu i bangla. W języku polskim w tłumaczeniu Henryka Siewierskiego ukazał się jego tomik zatytułowany 21 wierszy (Tesseractum, 2021).

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: Urodził się Pan w 1963 roku w Rio de Janeiro. Jak Pana włoska rodzina pochodząca z Toskanii znalazła się w Brazylii? W jakim języku mówiono w domu?

Marco Americo Lucchesi: Moja rodzina pochodzi z prowincji Lucca, z małego miasteczka Massarosa, położonego między morzem, górami i jeziorem Massacciuccoli. Miasteczko to kochał i często odwiedzał Giacomo Puccini. Moi rodzice znali się od dzieciństwa. Tak się złożyło, że podczas II wojny światowej nasze miasteczko zostało wyzwolone przez wojsko brazylijskie i w ten sposób również dalsze dzieje naszej rodziny zostały związane z Brazylią. Przede wszystkim dlatego, że mój ojciec otrzymał propozycję pracy w branży komunikacyjnej. Moja babcia ze strony matki również przybyła do Brazylii. Miał to być pobyt tymczasowy, ale w końcu ich prochy spoczęły na ziemi brazylijskiej. Na ziemi, która jest teraz dla mnie ziemią świętą. To wspomnienie przywołuje wiersz Miłosza: stare kobiety w kościele, ich straconą młodość, ich piękno, ich kruchość! W domu mówiliśmy po włosku, zaś po portugalsku tylko w szkole. Dlatego kiedy mówię po włosku, ludzie od razu rozpoznają mój toskański akcent.

Szkołę i studia (magisterium i doktorat z literatury, habilitacja z historii) kończył Pan w Brazylii. Jak Pan wspomina okres studiów?

Jako skok w świetliste głębiny! Jeszcze przed studiami na uniwersytecie pożerałem książki. Od dwunastego roku życia moi nauczyciele byli dla mnie oknem na świat. Oknem – ale nie przykładem. Czułem się jednakowoż nieraz samotny i starałem się zachować moją niezależność pomiędzy umiarem i belcanto. Historia przemawiała do mnie przez Heraklita, a literatura przez Parmenidesa. I jeden, i drugi byli dla mnie ważni. Nawiasem mówiąc, obecność klasyków, muzyki, pianina, Dantego jest esencją śródziemnomorskiego *joie de vivre*. Do dziś wysoko cenię historię filozofii i nie potrafię obyć się bez perspektywy przeszłego czasu.

Skąd u Pana pasja i zapał do znajomości języków obcych? Czyta Pan i porozumiewa się w językach: porugalskim, włoskim, niemieckim, francuskim, angielskim…

I w jeszcze kilku innych. Być może to kwestia genów: mój dziadek ze strony ojca był poliglotą. Ponieważ jestem wielojęzyczny, to być może jestem także trochę Polakiem. Żartuję – moja znajomość języka polskiego jest tylko pasywna, niemniej podczas spotkania w Stowarzyszeniu Polskich Pisarzy i brazylijskiej Akademii Literatury udało mi się wygłosić krótkie

przemówienie po polsku. Nauka języków obcych to nałóg, którego nie potrafię się pozbyć. Ale teraz już uczę się mniej intensywnie, bo zaangażowałem się w wiele projektów literackich i muzycznych. Być może to wszystko wynika z mojego dwujęzycznego pochodzenia i wychowania, a także z tego, że wyznając miłość, czynię to w dwóch językach. Pewnego razu, odwiedzając więźniów, poznałem Rumuna i mówiliśmy po rumuńsku. Na pożegnanie uściskal mnie serdecznie, bowiem tam, w więzieniu, stał się, jak mówił, sierotą własnego języka. Nigdy nie zapomnę tego spotkania! Słowa potrafią być aniołami lub demonami, zależnie od naszego wyboru.

Jak zaczęła się Pana nauka języka polskiego?

Mój pierwszy kontakt z językiem polskim zawdzięczam znajomym, Józefowi Lutkowi i jego żonie. Byłem bardzo młody, gdy zacząłem uczyć się tego niezwykłego „spotkania" spółgłosek i osobliwego nosowego dzwięku. Dźwięku, który pozwala odkryć, jak starodawny on jest wśród języków słowiańskich. No i oczywiście postać Jana Pawła II, która mi otworzyła inne horyzonty. Nauka rosyjskiego z kolei pomogła mi pogłębić i rozszerzyć słownictwo. Przede wszystkim zostałem oszołomiony wielkością poezji Mickiewicza, Różewicza, Herberta i Miłosza. Szczególnie zaś powieściami i dramaturgią Gombrowicza. Oczywiście również i wielu innych pisarzy, ale wspominam tu tych, którzy zaprowadzili mnie do księgarni w Paryżu. No a

potem był Assimil i moja pierwsza podróż do Krakowa. Jakże pamiętna!

To z wczesnej nauki gry na fortepianie, śpiewu, języków obcych wyniósł Pan tak głębokie i szczególne przygotowanie do „wejścia w dorosłość”?

Języki obce pozwalają zrozumieć świat i umożliwiają opowiedzenie o jego pięknie, jego tajemnicy, nadziei i okrucieństwie. Język jako taki jest filozoficznym sposobem na to, by zrozumieć wszystko, co nieuchwytne. Jest dla mnie, powiedziałbym, wokalnym tembrem, akcentem, cegłą wieży, której już nie ma. Z tego punktu widzenia *langue* i *parole* może też być odebrane jako śpiew chóralny. Głosząc takie prawdy, mam na myśli utwory Gombrowicza czy „Wesele”, ale także dzieła Brunona Schulza. Każdy język jest poetyckim systemem samym w sobie. Każdy język zasługuje na swojego poetę. Obecnie tłumaczę tureckiego poetę Yunus Emre ze słownika osmanli.. Zachwycam się wspaniałymi, dźwięcznymi głoskami: jak ü, jak polskie ł i nosowy dźwięk ą! Tajemnice orkiestry – dla mnie boskiej.

Do głosek dochodzi muzyka.

Jak wspomniałem, to drugi z moich nałogów. Zawsze uwielbiałem grać na pianinie. Nie jestem wirtuozem, ale staram

się grać jak najlepiej i codziennie ćwiczę. Śpiewanie jest również moją wielką pasją. Codziennie śpiewam moje ulubione arie i inne pieśni operowe, które znam na pamięć. To wszystko krąży w moich żyłach. Innym moim przyjacielem obok pianina jest teleskop. Bowiem: studiuj gwiazdy i pentagram, albo czytaj gwiazdy w pentagramie Cycerona, muzykę w niebieskich globach. Jednak w rzeczywistości chodzi o sprawy o wiele prostsze… Mój ojciec był bardziej „geometryczny", a moja mama bardziej „liryczna". Jakże wielką radość przeżywam wciąż ulokowany pomiędzy – z jednej strony gwiaździstym niebem, a z drugiej czarnymi klawiszami…

Rozmawiała Aleksandra Ziółkowska- Boehm.

Wywiad ukazał sie [w:]: ODRA, Wrocław, grudzień 2022 str. 72-73.

Zobacz też:

> Historia lubi się powtarzać

> Moja fotografia jest przedłużeniem życia

Artystyczne Toronto końca 2022 roku

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

*



Kazimierz Głaz, Istota rzeczy, 2005-2007

Jak żyć – spytał mnie w liście ktoś,

Kogo ja zamierzałam spytać

O to samo.

Znowu i tak jak zawsze,

Co widać powyżej,

Nie ma pytań pilniejszych

> Od pytań naiwnych…

Zaczynam cytatem z Wisławy Szymborskiej. W 2023 roku poetka-noblistka będzie cytowana często z okazji 100-lecia urodzin i wybrania jej na Patrona Roku 2023. Znakomicie przyda nam się wszystkim jej subtelna ironia, dowcip, błyskotliwa inteligencja i filozoficzne podejście do rzeczy świata tego.

Chciałam zapytać „jak żyć” Kazimierza Głaza w czasie mojego tygodniowego pobytu w Toronto, choć artysta właściwie odpowiedział mi na to pytanie swoim długim i twórczym życiem pokazując, że trzeba poddać się sile talentu, połączyć go z pracowitością i podążać za głosem serca. Teraz Kazimierz Głaz, pomimo słabości, ciągle tworzy, martwiąc się jednocześnie, że nie ma gdzie pokazać swoich prac. Pandemia spowodowała zamknięcie wielu galerii, w tym zaprzyjaźnionej galerii Zacka Pospieszyńskiego, z którą Głaz współpracował. Efekt covidu odbił się na życiu i twórczości wielu artystów.

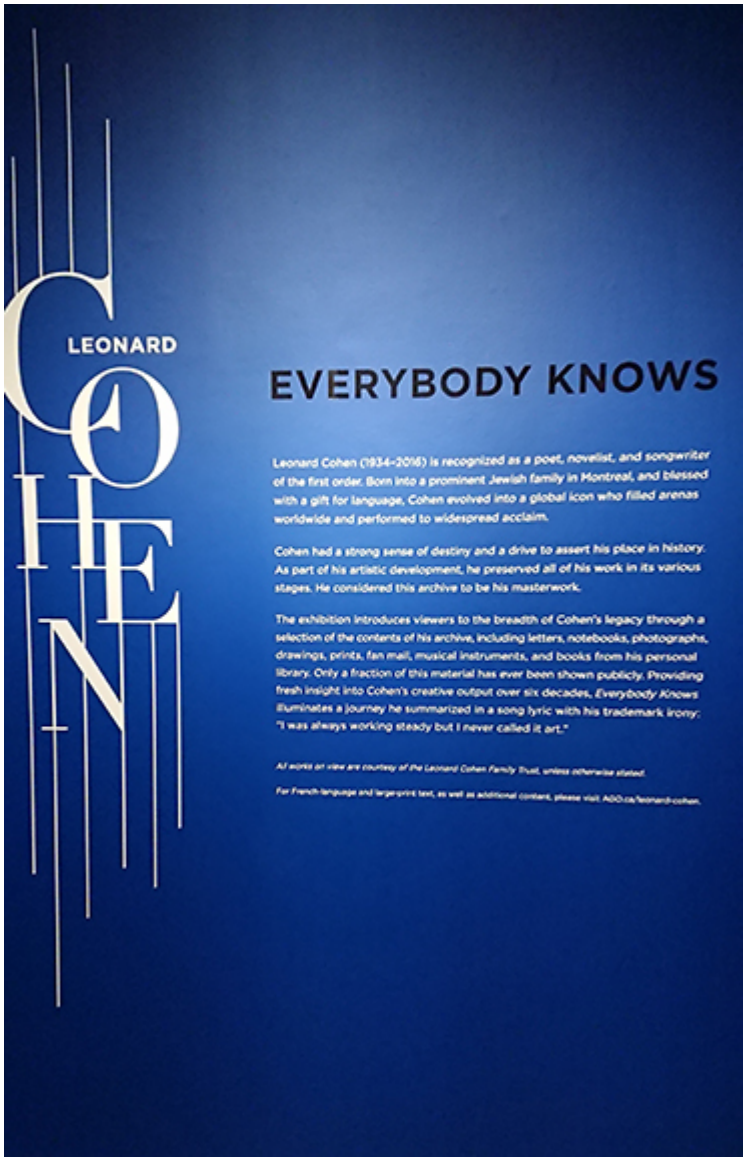


Anna Machudera

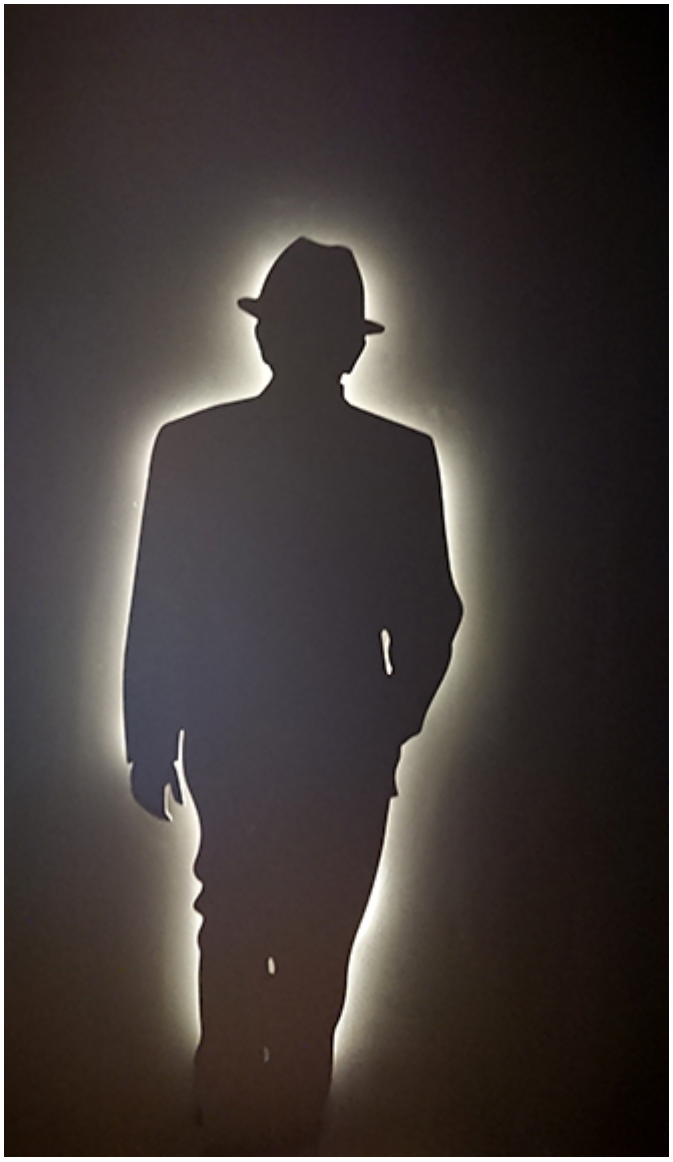
Dla Ani Machudery – malarki, artystki form przestrzennych, oznaczało to brutalną konfrontację z życiem i przewartościowanie sądów na temat świata, ludzi, jak również własnej sztuki, w wyniku czego podjęła decyzję przeniesienia się z Toronto do Barrie, by móc czerpać siłę i inspirację z natury. W swojej pracowni -laboratorium poszukuje nowej ekspresji. Artystce uznanie przyniosły „Illuminations", eksperymentalne prace – koła na pleksi, składające się z trzech elementów: światła, przezroczystych okręgów pleksi i cienia. Teraz Ania Machudera spokojnie przechodzi do nowego etapu szukając piękna i ekspresji. Co się z tego wykluje – tego jest najbardziej ciekawa sama artystka.

W naturze, z dala od zgiełku, zamieszkała również Kika Misztela – kuratorka wystaw polskich artystów plastyków w Toronto. Stało się to ze szkodą dla polskiego plastycznego życia artystycznego w Toronto, ale zarówno Kika, jak i jej rodzina są szczęśliwi i spokojniejsi o zdrowie w domu, z którego okien widać magię obłoków. Zupełnie jak w „Niebie” Szymborskiej:

> Nie muszę czekać na pogodną noc,
>
> ani zadzierać głowy,
>
> żeby przyjrzeć się niebu.
>
> Niebo mam za plecami, pod ręką i na powiekach.
>
> Niebo owija mnie szczelnie
>
> I unosi od spodu.



fot. Katarzyna Szrodt



fot. Katarzyna Szrodt

*

Dopełnieniem artystycznych odkryć grudniowego Toronto stała się otwarta niedawno wystawa „Everybody Knows” – hołd złożony kanadyjskiemu poecie, bardowi o złotym głosie – Leonardowi Cohenowi. W twórczości Cohena słowa i muzyka doskonale współgrają ze sobą, wibrują melancholią, tęsknotą za czymś niemożliwym, ciągłym poszukiwaniem miłości. Na kilku

ekranach rozmieszczonych na wystawie oglądamy Cohena będącego ciągle w drodze, piszącego w pokojach hotelowych, występującego na wielkich scenach i w małych klubach. Zewsząd słychać jego śpiew; na jednym video Cohen opowiada o swojej poezji, o tym, że dużo czasu zajmuje mu pisanie, skreślanie, poprawianie, ale zawsze wie kiedy tekst jest najlepszy i skończony. Dużo jest na wystawie prywatnych eksponatów artysty, od notatników, kartek, po gitarę, kapelusz i buty. Zaskoczeniem są rysunki i akwarele dowodzące umiejętności malarskich muzyka. Jeden z jego cytatów widniejący na ścianie brzmi: *If you liberate yourself, anything you lay hand on can sparkle* – Leonardowi Cohenowi udało się wyzwolić w sobie różne talenty które stały się dopełnieniem jego wypowiedzi poetyckiej i muzycznej.



Leonard Cohen, The Kitchen, Montreal 2007, wystawa w Toronto, fot. Katarzyna Szrodt

Przy bliższej analizie koncepcji wystawy uderza brak obecności kobiet- zdjęć i opisów pokazujących ich rolę w życiu artysty, którego przecież całą twórczość liryczną i prozatorską przenikała fascynacja kobiecością. Ekspozycja nie porusza tematu kobiet, które były partnerkami muzyka i towarzyszyły mu na różnych etapach życia jako muzy inspirujące kolejne utwory, czy doprowadzające artystę do rozpaczy, co też od razu znajdowało upust w tekstach. Uboższa o ten wątek wystawa „Everybody Knows" jednak mówi dużo o Leonardzie Cohenie i legendzie, jaką pozostawił po sobie. Prezentuje Cohena jako artystę

całkowicie oddanego swojemu powołaniu, fascynującego człowieka, mężczyznę o wielu twarzach.

Kanada podtrzymuje pamięć o zmarłym w 2016 roku artyście. Leonard Cohen nie był nigdy tak popularny w rodzimej Kanadzie, jak był w Stanach Zjednoczonych, Europie Zachodniej i uwielbiany w Polsce. W Montrealu znajduje się mieszkanie Leonarda Cohena z jego wszystkimi meblami i pamiątkami i być może niedługo powstanie w nim stała wystawa. Byłaby to niewątpliwie dodatkowa atrakcja dla miasta, w którym Leonard Cohen obecny jest na dwóch muralach, z których spogląda na zgiełk miasta nucąc w myślach „Songs of Love and Hate”.

Od Nowego Roku artykuły Katarzyny Szrodt będą się ukazywały w pierwszą środę miesiąca.

Brylant. Część 1.



Exton House, seria malowniczych widoków arystokratycznych, wiejskich siedzib Wielkiej Brytanii, XIX w., ilustracja książkowa, autor: F.O. Morris, źródlo: wikimedia commons

Wojciech Wilczyński *(Warszawa)*

I

Już było po wszystkim. Ustał stukot kół powozów na wybrukowanym podjeździe pałacu. Przed jego frontem ucichło rżenie koni i gwar rozmów. Zamknięto potężną bramę wjazdową, a zgrzyt zatrzaskiwanych zamków był ostatnim donośnym dźwiękiem, który rozległ się wśród zapadających ciemności. Gaszono po kolei światła, najpierw w alejach parku, następnie te

bliżej pałacu, na wjeździe i przy wejściu. W końcu nastała zupełna cisza. Kilkanaście breków i coupe stało w powozowni, albowiem część uczestników ceremonii i stypy udała się na nocleg do zawczasu przygotowanych sypialni. Hol i schody wiodące do pokojów na piętrze oświetlało chybocące światło niewielu świec, które pozostawiono na czas wietrzenia. Przez uchylone okna wydostawało się przegrzane powietrze, pomieszane z dymem cygar, świec, ciężkim aromatem kwiatów, perfum i zapachem naftaliny, który jeszcze przed chwilą rozsiewały futrzane płaszcze gości opuszczających westybul.

Siedział przy biurku w gabinecie. Nadszedł wreszcie ten dawno planowany moment, gdy mógł – przez nikogo nie niepokojony, zgodnie z ostatnią wolą ojca, wysunąć tajną szufladkę sekretarzyka i otworzyć ukrytą w nim skrytkę. Dowiedział się o niej podczas ostatniej rozmowy z nim, gdy wszystkim nakazał wyjść z sypialni i pozostali bez świadków. Wkrótce potem utracił z ojcem kontakt. Senior rodu leżał bez świadomości przez wiele dni. Po podniesieniu ozdobnego okucia znajdującego się na froncie, jedynego, które nieoczekiwanie nie było przytwierdzone na stałe, mechanizm blokujący sekretną, niewielką szufladkę uległ zwolnieniu. Jego oczom ukazała się zalakowana koperta z odciśniętą pieczęcią ojca. Widniał na niej wykaligrafowany jego ręką tekst: *Sir Edward Cunningham, mój syn, do rąk własnych* i na odwrocie podpis – *Philip Cunningham*. Edward wyjął kopertę. Zobaczył pod nią czerwone sukno, przysłaniające cztery

przegródki. W trzech leżały rodzinne pierścienie. Rubiny i szmaragdy otaczały arystokratyczny rodzinny herb. Słyszał o ich istnieniu, ale wiedza o miejscu ich ukrycia otoczona była tajemnicą. To, co zobaczył w czwartej przegródce, wprawiło go w zdumienie. Brylant ogromnej wielkości błysnął pięknymi szlifami w migoczącym świetle świec. Takich rozmiarów brylantu jeszcze nie widział, ani w bogatych kolekcjach, ani w najznamienitszych firmach jubilerskich. Usiadł w krześle z wysokim oparciem, stojącym obok sekretarzyka. Złamał pieczęć i otworzył kopertę. W środku był list napisany na jednej kartce. Edward rozprostował dwa zagięcia listu i położył go przed sobą.

> Drogi Synu Edwardzie !
>
> Gdy czytasz ten list nie ma mnie w świecie żyjących. Mam cichą nadzieję, że będzie mi dane, choćby z daleka, móc przyglądać się Wam wszystkim i cieszyć się Waszymi radościami. I wspierać Was, gdy zajdzie taka potrzeba.
>
> Pragnę Ci podziękować za miłość i troskę jakie mi okazałeś w ostatnich miesiącach. Kolejny raz przekonałem się, że jesteś moim godnym następcą i cenimy sobie te same nadrzędne wartości: Boga, honor i ojczyznę. Wierzę, że pozostaniesz im wierny. Teraz przed Tobą zaszczytne zadanie kontynuowania

naszych tradycji. Dbaj, proszę, o wszystkich bliskich i zarządzaj naszym majątkiem tak, by nikt nie cierpiał, nie czuł się pokrzywdzony. Mam tu na myśli nie tylko naszą rodzinę. Także oddaną nam służbę. Poświęcają nam swoje życie, są wierni i pracowici. Bądź tym samym dobrym chłopcem, z którym spędzałem chwile na zabawie i tym samym mężczyzną, którego zalety poznałem nie tylko podczas polowania, ale i w życiu codziennym. Życzę Ci, byś znalazł siły, które nie tylko pozwolą na utrzymanie obecnego status quo, ale dadzą naszemu wspaniałemu rodowi impuls do rozwoju. Wiem, że założysz szczęśliwą rodzinę.

W szufladce, którą znalazłeś, są herbowe pierścienie, mające blisko trzysta lat. Chroń je jak źrenicy oka. Są symbolem niezłomności naszego rodu i powinny być wsparciem duchowym dla jego następnych pokoleń.

W jednej z przegródek jest brylant. Nie należy do naszej rodziny. Historia jego w naszym domu nie jest długa. Sięga początku wieku, gdy toczyliśmy wojnę z Napoleonem. W 1804 roku, mój serdeczny Przyjaciel, wysoki rangą oficer królewskiej marynarki, przekazał mi go z prośbą o przechowanie. Okręt, na którym służył, wypłynął wraz z admirałem Horatio Nelsonem, by w bitwie morskiej przechylić ostatecznie szalę wojny na naszą korzyść. Wielkie zwycięstwo w 1805 roku uradowało króla Jerzego III i cały

naród.

Mój Przyjaciel nie zaznał tej radości. Zginął od strzału francuskiego marynarza pod Trafalgarem. Prosił, by na wypadek śmierci przekazać brylant jego potomkom. I ja złożyłem Mu przyrzeczenie. Mamy już 1820 rok, a ja, niestety, przez piętnaście lat nie spełniłem Jego prośby. Byłem zbyt zaabsorbowany naszymi sprawami, a ostatnio brakowało mi już sił. Na Ciebie ceduję ten obowiązek i wiem, że w moim imieniu, spełnisz obietnicę, którą złożyłem Przyjacielowi.

Jego imię brzmi : Thomas Cambridge, z Londynu, oficer marynarki w stopniu kapitana. Zginął pod Trafalgarem dnia 21 października 1805 roku. Dane znajdziesz w aktach Royal Navy.

Zostańcie wszyscy z Bogiem.
Twój zawsze kochający ojciec
Philip Cunningham
Ashbourne, 11 marca 1820.

Po dłuższej chwili Edward ostrożnie zamknął szufladkę, a list ojca umieścił w biurku. Poczuł się zmęczony. Uroczystość i mowy pożegnalne trwały długo. Część rodziny i przyjaciół pozostała na

nocleg. Musiał wydać dyspozycje na jutro.

II

Minęło kilka dni, podczas których wszystko powoli wracało do normy. Edward kontynuował zapisy w księgach finansowych, ordynował wykonanie prac. Poczuł się bardzo samotny. Uświadomił sobie, że choć przez ostatnie miesiące sam załatwiał większość spraw, fakt obecności ojca działał pozytywnie na jego psychikę. Matka odeszła przed trzema laty i teraz on – jedyny syn i spadkobierca całego majątku – został zupełnie sam.

Po tygodniu postanowił zająć się sprawa brylantu, by spełnić wolę ojca. Napisał list do Londynu, w którym przedstawił swój problem zaufanemu Przyjacielowi Jeremy'emu Scottowi. Pominął jednak informację o tym, co było przedmiotem, który ma do przekazania rodzinie Thomasa Cambridge. Jeremy nie zbagatelizował prośby Edwarda. Długo nie czekał na jego odpowiedź. Jeremy odpisał, że odwiedził siedzibę Royal Navy i posiada wydane przez archiwum dane adresowe rodziny Thomasa Cambridge. Nie był pewien, czy ma sam dalej zajmować się sprawą, czy też lepiej byłoby, co zresztą sugerował, żeby Edward przyjechał do Londynu. „Sam zdecydujesz jak postąpić" – pisał – „w zależności od sytuacji, bo jest to delikatna sprawa".

Tak dawno nie był w Londynie. Perspektywa spotkania z Jeremy’m i kilkoma innymi bliskimi znajomymi, nie wyłączając dalszej rodziny u której z pewnością znalazłby gościnę, wydała mu się kusząca. Doszedł do wniosku, że oderwanie się na jakiś czas od domu wyjdzie mu na dobre. Żyje samotnie i nie bywa w towarzystwie. Nie chciałby zostać starym kawalerem. A w bliskiej i dalszej okolicy, wśród ludzi jego stanu, nie widział żadnej młodej kobiety, która podobała by mu się do tego stopnia, by chciał poświęcać jej swój czas. A co dopiero związać się na stałe. Następnego dnia odpisał więc, że przybędzie do Londynu piątego maja, za trzy tygodnie. Nocować będzie u wuja, a u Jeremy’ego zjawi się następnego dnia około dziesiątej. Dodał, że chciałby spotkać wspólnych przyjaciół, pytając, czy może mu pomóc w tej kwestii.

Edward cieszył się na ten wyjazd. Nawet ojciec bywał w Londynie częściej, ostatni raz przed trzema laty, tuż przed nagłą śmiercią matki. Do diaska, mam już trzydzieści siedem lat, pomyślał, coś mi się od życia należy. Rodzice wciąż nalegali, by bywał wśród ludzi, a on zaszył się w lasach Ashbourne jak lis w norze. Bieżące sprawy przekazał ekonomowi. Wziął dwie walizki, pieniądze na pobyt i podróż, parasol, kilka drobiazgów, portrecik rodziców i notes, w którym były imiona, nazwiska i adresy znajomych oraz list – główny motyw wyjazdu. Jazda zajmie mi z tydzień, pomyślał i niewiele się pomylił.

III

W Londynie Edward zatrzymał się u wuja, który przyjął go bardzo serdecznie. Na czas pobytu zamieszkał w dwóch salonach i sypialni z łazienką. Wuj nie pytał go na jak długi czas zamierza pozostać w Londynie. Cieszył się, bo nareszcie miał okazję posłuchać opowieści o rodzinie i zmianach w majątku Ashbourne. I to z najlepszego źródła.

Nazajutrz około dziewiątej Edward ruszył pieszo na spotkanie z Jeremy'm. Jadąc dorożką nie mógłby przyjrzeć się uważnie zmianom, które dokonały się w stolicy. Zadziwiły go liczne nowe domy z witrynami sklepów, porządek na ulicach i przede wszystkim ogromny ruch. Szedł z Paddington przez Edgeware Rd i dalej Oxford Street, która zmieniała się w prawdziwą arterię. Do Greys Inn Lane nie miał daleko i przed dziesiątą był na miejscu. Jeremy czekał na niego z herbatą, ale na przywitanie podał mu szklankę szkockiej. Przy herbacie zrelacjonował mu własne dokonania, zaskakując Edwarda swoją dociekliwością. Okazało się, że rodzina Thomasa Cambridge przeniosła się do Dorking w hrabstwie Surrey.

– To wieś właściwie – powiedział Jeremy – z początkami zabudowy miejskiej. Znajduje się niedaleko, zaledwie dwadzieścia kilka mil na południe od Londynu. Moja służąca Elisabeth pochodzi stamtąd. Edward, nie masz wyjścia, musisz

tam jechać. Zresztą to piękne miejsce. Jak mi powiedziała Elisabeth, Dorking jest usytuowane między dwoma wzgórzami Box Hill i Leith Hill. A posiadłość, którą dość dawno temu kupiła rodzina Cambridge, jest położona w pobliżu miasteczka. Służąca przepytała swoje przyjaciółki, które lepiej znają tę okolicę i powiedziały, że to wielka winnica z niezbyt dużym domem. Nosi nazwę Crystal House.

Edward słuchał jego słów, nie mogąc się nadziwić w jaki sposób Jeremy zdołał zgromadzić tyle cennych informacji. A to wcale nie był koniec jego monologu, bo uzupełnił swoje wieści o istotne szczegóły.

– W posiadłości mieszka żona Thomasa – Emma Cambridge, z córką Karoliną. Mają nieliczną służbę.

Edward spojrzał przez okno na rosnące w sadzie jabłonie, obsypane białymi kwiatami. Wiosna wkroczyła tu na całego, nie to co u nas, na północy – pomyślał, a w Surrey , chodź to niedaleko, jest z pewnością jeszcze piękniej.

Jeremy z Edwardem spożyli wczesny lunch, podczas którego omówili londyńskie plany – z kim i gdzie mogliby się spotkać. Edward zaskoczył Jeremy’ego nagle podjętą decyzją, gdy oznajmił:

– Czekaj na mnie mój drogi, jutro wyjeżdżam do Dorking. Najpierw załatwię sprawę, a potem będę się udzielać towarzysko, tak będzie lepiej.

Jeremy chciał oponować, bo na jutro mieli umówione spotkanie, ale widząc jego determinację, ustąpił, i zaproponował:

– W takim razie mój stangret jutro rano zabierze cię powozem z Paddington. Dojedziecie na miejsce pod wieczór albo późnym popołudniem, jeśli nic się nie przydarzy. Nie mogę Ci towarzyszyć, mam pilne sprawy. Myślę, że dwa dni na miejscu w Dorking okażą się wystarczające. Dzisiaj mamy wtorek, więc kolację przygotuję na sobotę wieczór. Zrobię wszystko, by zjawili się: Eleonora, Sheridan i jeszcze ktoś, kto bardzo pragnie Cię zobaczyć, ale cicho sza. To ma być niespodzianka.

IV

Przed ósmą czterokołowy, lekki faeton zajechał po dom wuja. Edward pierwszy raz widział dwuosobowe, resorowane i zadaszone buggy. Zabrał tym razem niewielką walizeczkę i przede wszystkim list ojca. Przez całą drogę obmyślał co powie na powitanie i jak usprawiedliwi swoje najście, wszak była to niezapowiedziana wizyta. Nie żałował swojej decyzji, lepiej mieć tę sprawę za sobą – pomyślał – załatwię w tydzień coś, czego

ojciec nie zdołał uregulować przez piętnaście lat.

Pogoda im sprzyjała, słońce świeciło z lewej strony nie oślepiając stangreta, który powoził wyjątkowo sprawnie. Po drodze zaledwie cztery razy stanęli na krótkie postoje, by nakarmić i napoić konie. Posiłek zjedli w przydrożnej gospodzie. Odniósł wrażenie, że z każdą milą świat pięknieje, bo w Surrey zieleń i kwiaty przysłoniły niemal wszystko. Wielobarwne prostokąty rozpościerały się na łagodnych wzgórzach niczym czarodziejskie dywany. Lekkie buggy miękko płynęło po drogach spowitych intensywnymi zapachami kwiatów i łąk. Niechybnie by zasnął, gdyby nie wspaniałe, zmieniające się co chwila panoramy Surrey i widoki zapierające dech w piersiach.

W Dorking wskazano Edwardowi drogę do Crystal House. Do majątku rodziny Cambridge dotarli pół do czwartej. Posiadłość nie był ogrodzona. Aleja dojazdowa wyłożona drobnym brukiem prowadziła na podjazd przed niezbyt okazałe wejście do domu, wsparte na dwóch kolumnach. Powitała ich korpulentna niewiasta w fartuszku i białym czepku na głowie.

– Panowie do kogo ? – usłyszeli na powitanie.

– Do Pani Emmy Cambridge. Nazywam się Edward Cunningham, jestem z Ashbourne. Jadę z Londynu, w pilnej sprawie. Nie zdążyłem uprzedzić Pani Cambridge o moim przyjeździe.

– Pani nie ma. Pojechała z córką doglądać winnice, powinny wrócić na podwieczorek, o piątej. Pan pewnie zmęczony drogą, proszę do salonu, przygotuję herbatę. Zechce Pan wejść. Proszę spocząć na kanapie, zaraz podam herbatę.

Mężczyzna w zielonym fartuchu, prawdopodobnie ogrodnik, skierował faeton do stajni, znajdującej się poniżej domu.

– Żona przygotuje Panu herbatę, proszę za mną, – powiedział do stangreta.

Edward wszedł do domu i od razu zobaczył portret przystojnego, młodego mężczyzny w mundurze kapitana marynarki, wiszący na ścianie w obszernym holu, naprzeciwko wejścia. Któż inny miałby to być, jak nie szlachetny Thomas Cambridge – pomyślał, siadając z ulgą na kanapie. Miał za sobą wiele dni podróży i zmęczenie dawało o sobie znać.

V

Po herbacie z biskwitami nie oparł się drzemce, którą przerwały odgłosy kroków dobiegające z holu. Szybko wstał i ujrzał dwie kobiety zmierzające w jego kierunku. Lekko zaspany odchrząknął i przedstawił się:

– Nazywam się Edward Cunningham, jestem synem sir Philipa

Cunninghama z Ashbourne.

– Miło mi – odpowiedziała starsza z kobiet, jestem Emma Cambridge – i podała mu rękę, dodając: – to moja córka, Karolina. Wzrokiem i ruchem głowy wskazała młodą osobę stojącą obok. Edward jej również podał rękę.

– Pragnę Panią gorąco przeprosić za niezapowiedzianą wizytę. Byłem w Londynie i postanowiłem nie zwlekać z odwiedzinami w Dorking. Spełniam życzenie mojego zmarłego niedawno ojca.

– Nic nie szkodzi, że zjawił się Pan bez uprzedzenia. Poznałam kiedyś Pana ojca, był przyjacielem mojego męża Thomasa. Proszę przyjąć gorące wyrazy współczucia.

Po przywitaniu zrobiono przerwę, podczas której wskazano Edwardowi jego pokój. Zanim usiedli do podwieczorku zdążył umyć się i założyć wyjściowe ubranie. Panie przebrały się i niezapowiedziany przybysz mógł teraz podziwiać je w całej okazałości. Tocząc rozmowę z Emmą, patrzył jak urzeczony na Karolinę. Nigdy nie widział tak pięknego dziewczęcia, a właściwie kobiety. Kręcące się mocno włosy częściowo przysłaniały jej delikatną buzię. Mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Emanowała świeżością i wdziękiem, a uroku dodawały jej naturalne ruchy i gesty, świadczące o wrażliwości i umiejętności przekonywania. Edward zauroczony Karoliną

niemal zapomniał o celu swojej wizyty.

– Otóż – zaczął, gdy pili drugą filiżankę herbaty, mój ojciec uważał Pani męża, kapitana Thomasa Cambridge za swojego najlepszego przyjaciela. Pół roku przed bitwą pod Trafalgarem spotkali się i Pani mąż wręczył mu na przechowanie pewien przedmiot, który ojciec zobowiązał się przekazać potomkom kapitana w przypadku, gdyby ten poległ. Niestety, mąż Pani poniósł honorową śmierć w walce z Francuzami. Ich zginęło tysiące, a naszych marynarzy zaledwie kilkuset w wygranej przecież bitwie. Przeznaczenie sprawiło, że po tylu latach to mnie przypadło w udziale poinformować Panie o zobowiązaniu ojca i liście.

– Co to za tajemniczy przedmiot, szanowny panie, proszę nam powiedzieć.

– To wspaniały brylant, o którym dowiedziałem się z listu mojego ojca, proszę, oto ten list. Jest wprawdzie skierowany do mnie, ale nie ma w nim niczego, co powinno pozostać dla pań tajemnicą. Matka i córka z wielkim przejęciem czytały treść listu. Nie mogły opanować zdziwienia.

– Co za niesamowita historia! – powiedziała Emma.

Mina Karoliny świadczyła, że silnie przeżywa tę wiadomość. Gdy

ojciec udał się na wojnę miała zaledwie dwa lata i niczego z tego okresu nie pamiętała. Znała go jedynie z opowiadań, ze szkiców i portretów. A tu zjawia się przystojny Pan Edward z Ashbourne i po tylu latach przywozi wieści od ojca – pomyślała. Od ludzi, którzy go szanowali. Patrzyła z podziwem na Edwarda. Skoro jej ojciec i jego ojciec byli przyjaciółmi, to i on jest moim i mamy przyjacielem – pomyślała.

Podwieczorek przemienił się w kolację. Resztę wieczoru spędzili przy winie wspominając ojców i opowiadając ciekawe historie obu rodzin. Emma wspomniała, że przed pięcioma laty, na początku czerwca, rodzice Edwarda, będąc w drodze do Brighton, spędzili jedną noc w Crystal House. Była to niespodziewana wizyta. Pamięta uroczy, wzruszający wieczór, i wspomnienia pana Philipa o Thomasie. Edward był zupełnie zaskoczony.

Wiem, że byli w Brighton – powiedział, ale o wizycie w Crystal House nigdy nie wspomnieli. Zamilkł na chwilę, bo uświadomił sobie, że ojciec miał wtedy możliwość przekazania brylantu. Jedynym wytłumaczeniem mogła być nieprzewidziana wcześniej zmiana trasy, przez co wizyta nastąpiła przypadkiem pomyślał. Przez chwilę ta informacja nie dawała mu spokoju. Na następny dzień zaplanowano wycieczkę po posiadłości, której perłą były winnice, założone przez dziadka Jakuba, ojca Thomasa.

Część 2:

> Brylant. Część 2.

Wojciech Wilczyński



Urodzony w Warszawie. Absolwent SGH. Pisze i wydaje książki od 2012 roku. Pracował na różnych stanowiskach i w kilku zawodach. Był urzędnikiem państwowym, managerem w handlu zagranicznym, szefem budów za granicą, prezesem firm

handlowych, biegłym sądowym, tłumaczem dokumentacji technicznych, z-cą dyrektora instytutu. Poza Polską mieszkał 12 lat, wśród innych kultur, ludzi z różnych środowisk społecznych i zawodowych. Posługuje się językami obcymi: hiszpańskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim. Od 2018 roku na bazie WordPress prowadzi polsko-hiszpańską stronę autorską z której można pobrać w wersji ebook pięć książek, opowiadania, prozę poetycką, a także reportaże. Na YouTube uruchomił kanał z własnymi opowiadaniami: wojciech wilczynski nowele – liczba audiobooków przekroczyła czterdzieści. Współpracuje z licznymi organizacjami polonijnymi, m.in. Radiem Polonia Montreal Kanada. Wszystkie książki autora ukazały się w wersji papierowej. Pojawiają się co roku na licytacjach WOŚP, dostępne są w ofercie antykwariatów internetowych i na allegro.

Życzenia na Boże

Narodzenie i Nowy Rok 2023



Joanna Sokołowska-Gwizdka, Mozart Café, Austin, Teksas, 18 grudnia 2022 r., fot. Jacek Gwizdka

*

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Kochani Autorzy, Drodzy Czytelnicy!

Święta Bożego Narodzenia, są dla nas emigrantów zawsze trudne. Budzi się w nas tęsknota i nostalgia, wracają wspomniania. Niektórzy uciekają od Świąt, inni probują odtworzyć polską, świąteczną atmosferę. Żyjemy przecież otoczeni inną kulturą i innymi zwyczajami.

W Austin miejscem, które słynie z bożonarodzeniowych dekoracji jest Mozart Café, nad Town Lake. To piękne miejsce co roku czaruje atmosferą i przyciąga tłumy wielokulturowych mieszkańców miasta. Mozart Café słynie z fantastycznych pokazów świateł, opowiadających różne historie. I jak wszystko w Ameryce, pokazy te są spektakularne, okazałe, zapierające dech w piersiach. Ale to nie są święta, jakie pamiętamy z Polski, z zapachem choinki, barszczu, zupy grzybowej, pastowanej podłogi, ze skrzypiącym śniegiem za oknem, a przede wszystkim z miłością bliskich, którzy nas otaczali. W Wigilię, przypominamy sobie te wszystkie szczegóły, które były dla nas ważne i które zabraliśmy ze sobą w emigracyjną podróż.

Na „Culture Avenue" jest wiele materiałów o polskich świątecznych tradycjach i tych dawnych, i tych współczesnych, są wspomnienia sławnych ludzi i opowieści kulinarne. Jeśli ktoś

chce przypomnieć sobie polskie Boże Narodzenie, na pewno znajdzie tu coś dla siebie.

Magazyn „Culture Avenue" to platforma dla nas Polaków na emigracji, aleja spotkań, wymiany myśli, miejsce do dzielenia się talentami. Z magazynem współpracują autorzy, którzy mają duży dorobek literacki czy artystyczny. Od jakiegoś czasu magazyn wraz z Klubem Historyka Austin Polish Society organizuje spotkania z autorami on-line. W tym roku jesienią były dwa bardzo udane spotkania. Z Aleksandrą-Ziółkowska Boehm z Wilmington w stanie Delaware – piszącą o polskiej historii, laureatką wielu nagród, której książki ukazują się i w Polsce i w Ameryce oraz z Ewą Stachniak z Toronto – piszącą po angielsku powieści historyczne z polską historią w tle, która odniosła wielki sukces na światowym rynku księgarskim.

Zarówno spotkania z pisarzami, jak i dziesiątki artykułów w magazynie na temat polskiej kultury poza krajem, polskiej historii czy sztuki uświadamiają, że przecież więcej nas łączy, niż dzieli. Obojętnie gdzie mieszkamy, mamy wspólne korzenie, łączy nas kultura, tradycja i historia. Łączy nas też język. Przez tyle lat zaborów utrzymaliśmy język, możemy więc starać się o zachowanie mowy ojczystej, mieszkając na emigracji. Bo naszą ojczyzną jest język.

W ten Wigilijny Wieczór, który dla nas Polaków jest zawsze

dniem wyjątkowym, życzę spokoju, miłości bliskich, życzliwości, ciepła i kawałka Polski przy wigilijnym stole. A na Nowy Rok życzę nam wszystkim pokoju na świecie, bo to jest teraz najważniejsze.

Wesołych Świąt!

Joanna Sokołowska-Gwizdka,

redaktor magazynu „Culture Avenue”.

Kolęda Zespołu Mazowsze z tej płyty zawsze rozpoczynała Boże Narodzenie w moim rodzinnym domu w Polsce *(red.):*

Najważniejsze jest współczucie

Rozmowa z Anną Taborską, córką wybitnych polskich humanistów, mieszkających w Londynie – o rodzicach i

wartościach wyniesionych z domu.



Anna Taborska

Joanna Sokolowska-Gwizdka *(Austin, Teksas):*

Pani Anno, jest Pani córką osób niezwykle zasłużonych dla polskiej kultury i nauki. Pani mama to prof. Halina Taborska, filolog, filozof, historyk sztuki, wykładowca akademicki. Pani tata to teatrolog, tłumacz, poeta i krytyk literacki. Obydwoje urodzili się przed wojną. Proszę opowiedzieć, z jakich rodzin pochodzili, jak się poznali...

Anna Taborska *(Londyn):*

Pani Joanno, serdecznie dziękuję za zaproszenie na rozmowę o moich rodzicach. Miło mi bardzo u Państwa gościć.

Moja mama urodziła się w Puławach, pochodziła z rodziny szlacheckiej. Jej mama, Natalia, była nauczycielką, a tata pochodził z francuskiej rodziny. Gdy wybuchła wojna wstąpił do wojska polskiego. Mama miała dwie ciocie i trzech wujków, jednego zamordowali bolszewicy, drugiego Rosjanie we wrześniu 1939 roku, trzeciego zabił snajper niemiecki podczas walki o Kościół Świętego Krzyża w Warszawie 23 sierpnia 1944 r.

Mój tata urodził się w Toruniu. Pochodził z rodziny o tradycjach powstańczych i wojskowych. Oboje dziadkowie zginęli w Powstaniu Styczniowym, jego ojciec był legionistą i oficerem artylerii, walczył w dwóch wojnach światowych. Podczas II wojny uciekł z transportu do jednego z obozów katyńskich. Przeżył wojnę. Mama mojego taty, Irena, była stomatologiem, działała w konspiracji, została zamordowana przez Niemców w 1944 r. Tata jako nastolatek wstąpił do AK, walczył w Powstaniu Warszawskim na Mokotowie, był ranny.



Bolesław Taborski



Bolesław Taborski ze swoją mamą Ireną

*

Jak to się stało, że zamieszkali na Wyspach Brytyjskich?

Po upadku Powstania Warszawskiego, mój tata został wywieziony do obozu jenieckiego w Niemczech, w Sandbostel, koło Bremy. W kwietniu 1945 r. obóz wyzwolili Brytyjczycy (Gwardia Walijska). Przez pół roku po zakończeniu wojny

przebywał w obozach byłych jeńców, po czym poszedł do Liceum Polskiego w Lubece, gdzie zdał maturę w 1946 r. Koniecznie chciał wracać do Polski, ale stamtąd przychodziły złe wieści, m.in. o aresztowaniach Akowców, więc postanowił pojechać do Włoch i wraz z Armią Generała Andersa dotarł do Anglii. Po dziesięciu miesiącach w obozie dla uchodzców został przyjęty na uniwersytet w mieście Bristol, gdzie studiował teatrologię i anglistykę.

W Polsce zapanowała wtedy głęboka stalinowska noc, więc tata postanowił zostać w Anglii i przeniósł się do Londynu, gdzie brał udział w polskim życiu społecznym i literackim. Wraz z innymi początkującymi poetami założył pismo literackie, „Merkuriusz Polski", a potem jego kontynuacją było pismo „Kontynenty". Działał też w organizacjach społecznych, był wice-prezesem zrzeszenia studentów i absolwentów polskich na obczyźnie. Coraz więcej pisał, był recenzentem teatralnym w tygodniku „Życie", pisał do paryskiej „Kultury", zajmował się publicystyką. W 1957 r. wydał swój pierwszy tomik wierszy „Czasy Mijania". W tym czasie odbył też pierwszą po wojnie podróż do Polski.

Znajomi poprosili tatę, by zawiózł przesyłkę dla ich koleżanki, która przygotowywała się do doktoratu na Uniwersytecie w Warszawie. Była to moja mama, która wcześniej, pomimo świetnych wyników w szkole i zdania bardzo dobrze egzaminu wstępnego, miała duże problemy z dostaniem się na studia z

powodu „niewłaściwego” (czyli szlacheckiego) pochodzenia, jak również dlatego, że nie chciała wstąpić do ZMP (Związek Młodzieży Polskiej), ani deklamować wierszy wychwalających Stalina. W każdym razie, zainterweniował mamy kolega ze szkoły (który był w ZMP) i w końcu poszła na studia, a potem robiła doktorat u profesora Władysława Tatarkiewicza na Uniwersytecie Warszawskim. Tu właśnie szukał jej mój tata, ale wciąż się mijali, aż wreszcie spotkali się na ulicy Puławskiej, którą mama szła ze wspólnym znajomym.



Halina i Bolesław Taborscy, lata 60-te

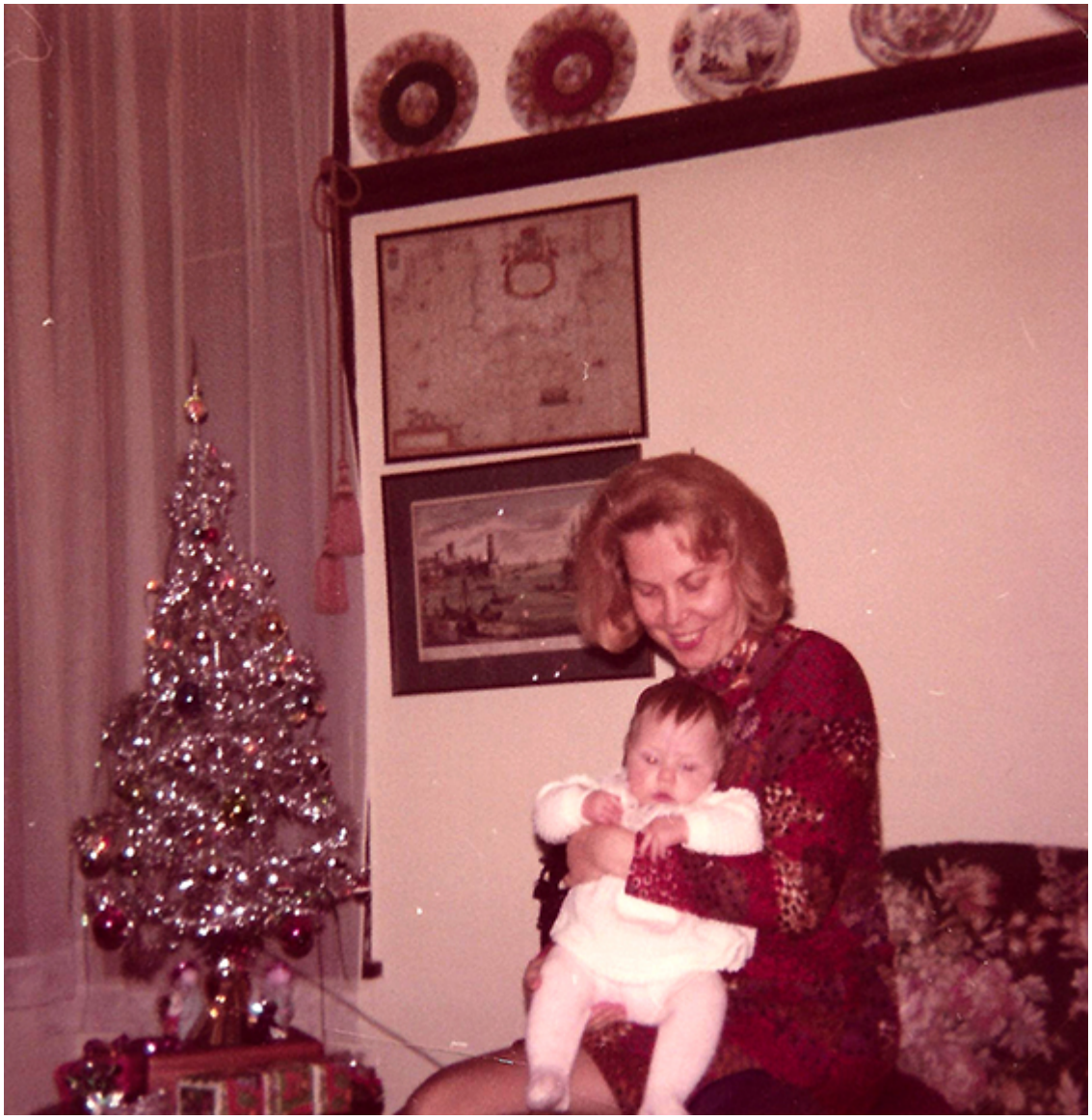
Tata zakochał się od pierwszego wejrzenia i zaprosił mamę do teatru, a potem na kolację, gdzie bardzo mamie zaimponował, bo zapytał ją czy chce zjeść deser, co „zbiło ją z nóg”, jak

wspominała prawie pół wieku później, „bo w tamtych studenckich czasach nie było pieniędzy na desery”. Moi rodzice oboje mieli „słodki ząb”, jak to się mówi po angielsku. Po tym pierwszym pobycie w Polsce tata wrócił do Londynu. W tym okresie Polska Sekcja Radia BBC ogłosiła konkurs na pracę etatową, na którą kandydował i został przyjęty. W BBC chciano, żeby pracę zaczął od zaraz, ale on uważał, że musi jak najszybciej, jeszcze w tym samym roku, odbyć drugą podróż do Polski i namówić mamę na wyjazd do Londynu. Przekonał ją, że w związku z tym, że pisała pracę doktorską o współczesnej estetyce brytyjskiej, powinna przyjechać do ich wspólnych przyjaciół do Londynu i wtedy będą mieli okazję spędzić więcej czasu razem.

Podróżowali razem sporo po Anglii, a po paru miesiącach pobytu mamy w Londynie, czyli po roku już w sumie znajomości, pobrali się. Nie była to dla mamy łatwa decyzja, bo nie chciała zostawić swojej mamy, mojej babci Naty, samej w Polsce. Jak ja się urodziłam, to Nata przyjechała i mieszkała z nami przez kilka lat w Londynie. Kiedy lekarze powiedzieli jej, że jest zbyt chora i delikatna, żeby podróżować, to postanowiła wrócić na koniec życia do Polski.



Bolesław Taborski z Anią i ze swoim ojcem Józefem



Halina Taborska z Anią w domu jej rodziców chrzestnych, 1969 r.

*

Urodziła się Pani w Anglii, ale świetnie posługuje się Pani językiem polskim. Czy w domu rozmawiało się po polsku?

Bardzo dziękuję za komplement, Pani Joanno, ale chciałabym o wiele lepiej mówić i pisać po polsku! W domu rozmawiało się po

polsku. Przez pierwsze lata mojego życia mieszkała z nami właśnie mama mojej mamy, Nata, która uczyła mnie polskiego, a że pochodziła z Kresów, to podobno jak byłam mała, mówiłam z pięknym kresowym akcentem. Niestety od dawna go nie mam. Zresztą, rodzice stwierdzili, że abym tak naprawdę była w stanie nauczyć się i zapamiętać język polski, to powinnam mieć styczność tylko z tym językiem zanim pójdę do angielskiej szkoły. Tak więc, do czwartego roku życia znałam właściwie tylko język polski, a angielskiego uczyłam się dopiero w przedszkolu. Lekcje języka polskiego kontynuowałam w polskich szkołach sobotnich: najpierw w szkole dla dzieci od 5 do 16 lat, a potem w szkole maturalnej dla młodziezy od 16 do 18 lat, gdzie do matury z języka polskiego (a właściwie z literatury polskiej) przygotowywała nas moja mama. Dawała nawet wszystkim swoim uczniom korepetycje u nas w domu i muszę się tu pochwalić, że zdałam na piątkę!

Jak wspomina Pani swój dom rodzinny?

Mój dom rodzinny był pełen miłości, życzliwości, tolerancji, wzajemnego szacunku. Jak byłam mała, mama śpiewała mi, a babcia i tata czytali mi książki (moje ulubione to: „Dar Rzeki Fly", „Przygody Baltazara Gąbki", „Mniejszy Szuka Dużego", „Groszek i Natalia", „Cyryl, gdzie jesteś?", „Uwaga! Czarny Parasol!" i „Kubuś Puchatek").



Rodzina Taborskich z babcią Natą, lata 70-te

Tato przed snem nosił mnie po całym domu na ramionach; nazywało się to „runda honorowa” – bardzo to lubiłam. Jak zasypiałam, to do snu towarzyszyły mi cichutkie dźwięki muzyki klasycznej i stukania maszyny do pisania z gabinetu taty (tata do końca życia pisał na Olimpii z lat 1950-tych). To też bardzo lubiłam.

W szkole podstawowej, rodzice interesowali się jak miałam zadanie domowe. Pomagali mi, gdy musiałam pisać wypracowania. W pierwszej klasie szkoły średniej pamiętam jak musieliśmy napisać wiersz z punktu widzenia drugoplanowej postaci z „Hamleta”. Nauczycielce i uczniom nie podobał się mój wiersz, ale mój tato powiedział mi, że sam byłby dumny z siebie, gdyby napisał ten wiersz. Ten epizod wszystko zmienił i dał mi

wiarę w siebie i w to, że to, co piszę ma wartość. Teraz myślę czasem o tym, jak bardzo musimy się liczyć z naszymi słowami, szczególnie w stosunku do dzieci i osób młodych, niepewnych siebie i swojej wartości.

Gdyby nie słowa mojego taty, gdyby zakodowały się we mnie tylko słowa nauczycielki i koleżanek, to prawdopodobnie zrezygnowałabym z pisania i nie byłabym teraz pisarką. Później też tata zawsze miał coś dobrego do powiedzenia o moich opowiadaniach. Mama z kolei, zawsze miała uwagi jak poprawić moje prace, co należałoby wyrzucić, co można dodać. I ta „konstruktywna krytyka" od mamy też ogromnie mi pomagała. Mama zawsze jako pierwsza czytała moje opowiadania, jak tylko kończyłam je pisać. Bardzo mi tego teraz brakuje.





Boże Narodzenie u Haliny i Bolesława Taborskich w Londynie

Proszę opowiedzieć, jak wyglądały Święta Bożego Narodzenia w Pani domu, czy obchodzona była Wigilia, czy święta miały polski nastrój?

Święta spędzaliśmy z przyjaciółmi – ze Zbyszkiem i Magdą Czajkowskimi i ich dziećmi (Zbyszek był zaraz po wojnie w klasie maturalnej z tatą w Lubece, a wcześniej służył pod komendą

Krzysztofa Baczyńskiego w Powstaniu Warszawskim), lub z Czesławem i Danusią Kamińskimi i ich córką (Czesław służył w Pierwszym Korpusie u Generała Maczka). W Wigilię chodziliśmy do nich, a oni w pierwszy dzień Świąt przychodzili do nas. Słuchaliśmy kolęd nagranych na kasetę, a nastrój był jak najbardziej polski. Czasem po Wigilii tato brał mnie na Pasterkę.

Pani mama wykładała na ponad 30 uczelniach, w tym na Oxfordzie czy Harvardzie. Jak godziła obowiązki domowe, jaką była mamą?

Nie wiem jak to robiła, że tak ciężko pracowała, była świetnym pedagogiem, a zarazem wspaniałą, cudowną mamą. Na pewno pomagało to, że jej mama, Nata, opiekowała się mną w ciągu dnia, gdy ona i tata byli w pracy. Ale i tak codziennie znajdowała dla mnie czas, tak jak i mój tata. Miałam wspaniałe dzieciństwo, zawsze byłam otoczona miłością. Oprócz rodziców i babci, miałam też kochanych rodziców chrzestnych (też Polaków), wybitnego chirurga ortopedę Mirosława Vitali i jego żonę, dentystkę, Marię, tak zwaną Bubę, którzy mieszkali parę domów dalej. Jak myślę o swoim dzieciństwie, a szczególnie o swoich rodzicach, to często robi mi się smutno, bo chciałabym, żeby każdy na świecie miał tak dobrych rodziców jak ja.

Czy mieszkaliście razem z mamą w Ameryce, wtedy, gdy mama pracowała w USA?

Mama pracowała w Ameryce okresowo. Z tego, co pamiętam, to nigdy nie wyjeżdżała na dłużej niż parę miesięcy. Ja wtedy zostawałam z babcią, albo z tatą. Jak miałam dwanaście lat (było to już po śmierci mojej babci), gdy rodzice oboje wykładali w Stanach w okresie letnim, to byłam z nimi. Wtedy głównie tata wykładał, a mama woziła mnie po całych Stanach i pokazywała mi piękne i ważne miejsca – Grand Canyon, Niagara Falls, California Redwoods, San Fransisco, Washington D.C., Chicago. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w malutkim mieszkanku w Nowym Jorku, razem z kotką Spark, która, jak wszystkie koty, uwielbiała mojego tatę. Byliśmy we trójkę, m.in. w Muzeum Holokaustu, które zrobiło na mnie ogromne i szokujące wrażenie. Na moje trzynaste urodziny byłyśmy same z mamą u kuzynów taty w Chicago (tata wtedy wykładał) i pamiętam, że mama kupiła mi sandałki (różowe), i poszłyśmy na lody i do kina na film Spielberga „E.T.”.



Halina Taborska

Pani tata, jako kilkunastoletni chłopiec brał udział w Powstaniu Warszawskim. Prowadził dzienniczek, w którym zapisywał wydarzenia z każdego dnia walk. Czy w domu rozmawiało się o wojnie, o Powstaniu?

W domu nigdy nie mówiło się o wojnie. Choć czułam pewien podtekst. Np. mama bardzo się bała jak wychodziłam wieczorami z przyjaciółmi. Zawsze czekała na wiadomość ode mnie, żeby mogła przyjechać pod taki czy inny dom po imprezie i odwieźć mnie do domu. Myślę, że to wywodziło się z tego, że najpierw, jak miała 5 lat, to jej tata wyszedł z domu i nigdy nie wrócił (był ranny na wojnie, przeżył, ale już nigdy do Polski nie wrócił), a później, zaraz po wojnie, rosyjski wywiad porwał jej mamę, Natę, i przez ponad rok wszyscy myśleli, że nie żyje. O przeżyciach wojennych rodziców zaczęłam się dowiadywać jak już byłam

dorosła i właściwie musiałam wyciągać z nich te informacje.

Obydwoje Pani rodzice byli naznaczeni wojną. Wojna pojawiała się w poezji taty, mama przez 25 lat pracowała nad projektem, który zakończył się publikacją „Sztuka w miejscach śmierci". Czy uważa Pani, że Pani zainteresowanie horrorem, w postaci nagradzanej prozy czy reżyserii filmów z tego gatunku, wywodzą się ze wspomnień wojennych rodziców?

Myślę, że moje zainteresowanie horrorem wywodzi się właśnie z przeżyć, o których się nie mówiło w domu, ale które gdzieś tam tkwiły w podświadomości, gdzieś głęboko pod powierzchnią radosnego, słonecznego, pełnego miłości domu.

Pomimo tego, że rodzice skutecznie chronili mnie w każdy możliwy sposób, to jednak widzę jaki ten świat jest, co ludzie potrafią zgotować innym ludziom, i to mnie przeraża. W świecie, który już sam z siebie gotuje nam choroby, klęski i wypadki, nie mogę zrozumieć do czego potrzebna jest jeszcze nienawiść i przemoc jednych ludzi w stosunku do drugich. Myślę, że praca dla BBC nad serią o Auschwitz i rozmowy z ludźmi, ktorzy przeżyli obóz, lub byli świadkami innych wynaturzeń II Wojny Światowej, nie polepszyła mojej opinii o świecie.



Halina i Bolesław Taborscy, lata 80-te

Czy jest coś ważnego, co chciałaby Pani dodać na temat rodziców?

Moi rodzice byli wielkimi humanistami, poświęcili życie pomagając innym, uważali, że każdemu należy się szansa i pomoc.

Mama wykształciła całe pokolenia młodych ludzi, uczuliła ich na piękno, właściwie stworzyła dziedzinę studiów sztuki publicznej.

Pomagała też przez wiele lat różnym rodzinom w Polsce, wspierała je finansowo i woziła im różne rzeczy. Jak już Pani wspominała, mama pracowała na różnych „wielkich" uczelniach, a po przejściu na emeryturę również na malutkim, niezależnym Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) w Londynie, najpierw wykładając, a w latach 2011-2017 jako rektor. PUNO było bardzo bliskie mamy serca, włożyła w nie dużo czasu i energii. Na szczęście, obecny rektor PUNO, profesor Włodzimierz Mier-Jędrzejowicz, którego mama bardzo lubiła i ceniła, jest również wielkim humanistą i kontynuuje tradycję uczelni. Pozwolę sobie podać Państwu link do strony najmniejszego na świecie polskiego uniwersytetu, którego korzenie sięgają II Wojny Światowej:

Mój tato wspierał młodych twórców, poetów, reżyserów, sprowadzał polskie zespoły teatralne do Londynu i do Edynburga na festiwale, między innymi Kantora i Grotowskiego, budował mosty między Polską a Wielką Brytanią tłumacząc wybitne dzieła literatury z polskiego na angielski i z angielskiego na polski. Był niezmiernie dobry dla ludzi, kochał zwierzęta. Nigdy nie przeszedł obojętnie obok bezdomnego człowieka, czy zwierzęcia.

Pomimo niespotykanej łagodności, tato był stanowczy, jak w coś wierzył to szedł za własnym sercem, nawet gdy go to wiele kosztowało (zresztą, moja mama też). Po śmierci Stalina, gdy już mógł odwiedzać Polskę bez obaw o represje, postanowił

wydawać swoją poezję właśnie w Polsce, pomimo, że miał możliwość drukowania wierszy w Anglii. Jego decyzja oburzyła znaczną część polskiej emigracji londyńskiej, ale tato głęboko wierzył, że właśnie Polacy żyjący pod opresją komunistyczną najbardziej potrzebują poezji, sztuki, wkładu twórczego i intelektualnego oraz dialogu z rodakami za Żelazną Kurtyną. Spotykał się także z poetami, studentami i czytelnikami, czytał im swoje wiersze, dając im dużą radość i poczucie, że nie są całkowicie odizolowani od światowej kultury. Do końca życia był za to krytykowany, a ja jestem z niego ogromnie dumna. Chciałabym być taka dzielna jak on i zawsze iść za własnym sercem, słuchać swojego sumienia pomimo kosztów, jakie się ponosi za własne przekonania.

Pani Joanno, jestem niezmiernie Pani wdzięczna za możliwość powspominania trochę o moich cudownych rodzicach. Jeśli pozwoli Pani, to zakończmy wierszem taty, który moim zdaniem podsumowuje podejście moich rodziców do świata i do ludzi:

> Współczucie
>
> najważniejsze jest współczucie
>
> dla wszystkiego co na ziemi

ludzi zwierząt i też roślin

skał mórz i znów mówię: ludzi

ono czyni życie znośnym

a jego brak odczłowiecza

weźmy sprawców Holocaustu

sługi diabła na tej ziemi –

udawali że są ludźmi

ba – nadludźmi – byli niczym

nie wiedzieli co współczucie

10.04.06

Z tomiku Bolesława Taborskiego „Plan B. Wiersze 2004-2006”,

Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2007 r.

*

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego Anny Taborskiej

---

*

Filmy Anny Taborskiej:

*

Zobacz też:

> Dużo roboty z tym papieżem

Prof. Halina Taborska ur. w 1933 r. w Puławach, zm. 2021 r. w Londynie. Blisko 65 lat jej kariery naukowej w dziedzinie sztuki, filozofii i estetyki wywarło nieoceniony wpływ na kształtowanie się wizerunku Polski, polskiej kultury i sztuki na świecie. Wiele jej projektów badawczych z zakresu sztuki w przestrzeni publicznej ma kontynuację we współczesnych badaniach humanistycznych i kulturowych, ukierunkowanych na postrzeganie relacji między człowiekiem a miejscem. Inicjatywy naukowe zajmujące się m.in. analizą form artystycznych w przestrzeniach miast europejskich odwoływały się do tego związku. Były to projekty: „Sztuka publiczna i architektura w nowych i regenerowanych zespołach miejskich Europy"; „Sztuka i katharsis – Pomniki Ofiarom II Wojny Światowej"; „Studium kształtowania współczesnego krajobrazu kulturowego Warszawy", „Współczesna sztuka publiczna na otwartych przestrzeniach Anglii", „Kultura artystyczna w procesach rewitalizacji miast europejskich". Prof. Taborska przez wiele lat prowadziła w Anglii wykłady i seminaria z zakresu historii sztuki XIX i XX wieku oraz historii idei w Camberwell College of Art i Roehampton Institute of Higher Education, oraz sztuki rosyjskiej i radzieckiej na Uniwersytecie Oksfordzkim. Wykładała także na ponad dwudziestu amerykańskich uniwersytetach, w tym na

Uniwersytecie Harvarda, City University of New York Graduate Center, San Francisco State University, University of Michigan at Ann Arbor, University of Milwaukee, State University of New York. Odwiedzała także uczelnie w Polsce, dzieląc się swoją wszechstronną wiedzą z polskimi studentami. Przez wiele lat wykładała na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) w Londynie i od 2011-2017 była jego rektorem. Prof. Taborska jest autorką 10 publikacji książkowych i wielu artykułów naukowych.

Bolesław Taborski, ur. 1927 w Toruniu, zm. 2010 w Londynie. Był poetą, eseistą, tłumaczem, pisarzem teatralnym i profesorem w City University of New York Graduate Center. Lata okupacji niemieckiej podczas II Wojny Światowej spędził w Krakowie i Warszawie, a od 1943 był żołnierzem Armii Krajowej, Zgrupowania Pułku „Baszta". Walczył w Powstaniu Warszawskim i został ranny, po upadku powstania dostał się do niewoli niemieckiej. Po wyzwoleniu z obozu jenieckiego przeniósł się do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszkał od 1946 roku. Studiował anglistykę i teatr na Uniwersytecie w Bristolu. W latach 1959-1993 był dziennikarzem radiowym Polskiej Sekcji BBC World Service w Londynie, gdzie napisał i wyemitował powieść radiową, wiadomości, przeglądy kulturalne i programy okolicznościowe, a przez wiele lat był producentem programu poświęconego kulturze i sztuce. Był autorem dwudziestu tomów poetyckich z lat 1957-2010, w tym anglojęzycznego tomu „For the Witnesses" („Dla świadków") (1978). Napisał szereg książek o teatrze, m.in. „Nowy Teatr Elżbietański" (1967), „Byron and the Theatre" („Byron i teatr") (1972), oraz dwie książki o Karolu Wojtyle jako poecie i dramaturgu: „Karola Wojtyły dramaturgia wnętrza" (1989) i „Wprost w moje serce uderza drogą wszystkich" (2005), a także wielokrotnie nagradzaną książkę o Powstaniu Warszawskim – „Moje powstanie wtedy i teraz" (1998). Zdobył szereg prestiżowych nagród literackich w Warszawie, Nowym Jorku, Genewie i Londynie. Nagrodę Jurzykowskiego (1968), Nagrodę Kościelskich (1977), Nagrodę Witkiewicza (1988), Nagrodę ZAIKS-u (1990, 1995), Nagrodę Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (1998), Nagrodę Wydawnictwa Książek Historycznych „Klio" (1998). Przetłumaczył na język angielski dramaty Karola Wojtyły (papieża Jana Pawła II), trzy książki Jana Kotta (w tym słynny „Szekspir współczesny") oraz „Życie Majakowskiego" Wiktora Woroszylskiego. Przetłumaczył na język polski dwadzieścia sztuk Harolda Pintera, powieść Grahama Greene'a oraz zbiory poezji Roberta Gravesa i Roberta Lowella. Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz PEN.

Anna Taborska to brytyjska reżyserka i pisarka horrorów. Napisała i wyreżyserowała dwa krótkie filmy fabularne, dwa filmy dokumentalne i nagrodzony dramat telewizyjny. Pracowała także przy dwudziestu innych filmach i brała udział w realizacji dwóch ważnych seriali telewizyjnych BBC: *Auschwitz: naziści i ostateczne rozwiązanie* oraz *II wojna światowa za zamkniętymi drzwiami – Stalin, naziści i Zachód*. Jej opowiadania ukazały się w ponad trzydziestu antologiach, a jej debiutancki zbiór opowiadań *For Those Who Dream Monsters* („Dla tych, którzy śnią potwory"), wydany przez Mortbury Press w 2013 roku, zdobył nagrodę Children of the Night przyznawaną przez Dracula Society i był nominowany do British Fantasy Award. Anna Taborska jest także autorką nominowanego do nagrody Stokera zbioru opowiadań *Bloody Britain*, który ukazał się w październiku 2020 r.

nakładem Shadow Publishing, a w 2023 r. zostanie wydany we włoskim tłumeczaniu przez wydawnictwo Independent Legions.